

Rozdział pierwszy

Wypełniała kopytka jednorożcom.

Jakkolwiek brzmi to niedorzecznie, siedziała na kanapie w towarzystwie kilku dziewcząt, słuchając muzyki, i za pomocą druta od robótek ręcznych wypychała do wiotkich nóżek z kolorowego kretonu włókninę. Spełniała też wiele innych ról, równie niecodziennych. Po kilku tygodniach podzieliły się kompetencjami i wówczas okazało się, że z niej jest najbardziej precyzyjna „wypychaczka”, podczas gdy pozostałe pracownice zajmowały się odrysowywaniem szablonów na materiale, wycinaniem i zszywaniem. Osobną trudność sprawiało wywlekanie gotowych powłoczek na prawą stronę, też przy użyciu drutów, gdyż niektóre elementy bajkowych postaci i pluszaków były wąziutkie i trudno było posługiwać się palcami. Precyzja tych czynności polegała na tym, by wykonując swój odcinek pracy, dostrzegać w myślach produkt finalny. Szefowa, jako wizażystka całego przedsięwzięcia, brała na siebie wyszywanie buzi, odpowiedzialny dobór oczek i kształtowanie nosa, montaż ewentualnych wąsów, grzywy czy ogona. Całość przebiegała w nieco leniwej atmosferze; zimą było ciepło i przytulnie, poprzez witrażowe okna wpadał słaby odbłask dnia. Położenie warsztatu w starej kamienicy dodawało ich wysiłkom swoistego uroku. Pachniało kawą i apreturą z beli materiałów. Włóknina rwała się delikatnie i stawiała się plastyczna w dłoniach kogoś nawy?

kłego do jej właściwego wykorzystania. Takie współczesne „darcie pierza”, bez udziału piór.

Berenika długo szukała pracy po rozwodzie z mężem. Desperacko zatrudniła się w sklepie mięsnym, i nauczyła odróżniać toruńską od krajeńskiej i knyszyńskiej. Przywykła do moczenia starych kurczaków, żeby wyglądały „jak świeże”, i pokonała początkowy niesmak, kierując się zasadą, że to szef bierze na siebie moralną odpowiedzialność za ów proceder. Po kilku dniach umiała sobie radzić z detalicznymi życzeniami swoich, przeważnie starszych klientów, i dokładnie odmierzać po trzy plasterki polędwicy sopockiej albo „taki mały kawałek metki łososiowej”. Niestety stres powodował, że wydawała resztę przeważnie na swoją niekorzyść, toteż właściciel przybytku grzecznie podziękował jej za współpracę.

Wcześniej siedziała w rejestracji do trzech stomatologów, gdzie szybko udało jej się osiągnąć biegłość w pracy z komputerem, i wykazywała sporo empatii pacjentom z rozmaitymi lękami. Wiadomo – dentyści-sadyści! Do tego przykry dźwięk szybkoobrotowych wiertel w zębach pacjentów słyszany niestety w poczekalni! Na sam koniec niebagatelny stres, gdy trzeba było za te mało komfortowe przeżycia pobrać opłatę, ewentualnie ustalić termin kolejnej masakry! Nauczyła się, na czym polega leczenie kanałowe, uspokajała, że koszty można rozłożyć na raty, i w ogóle było jej tam dobrze przez ponad rok, dopóki nie zjawił się jegomość, który tak ją polubił za jej „złote serce i ciepły uśmiech”, że w ogóle nie chciał opuścić przytulnej poczekalni. Zjawiał się każdego dnia z bukietem kwiatów i bezustannie ambarasował otoczenie swoim jawnym uwielbieniem dla rejestratorki. Wszelkie próby pozbycia się go (łącznie z jednorazowym udaniem się na kawę i ciastko, co okazało się dużym błędem!), cierpliwe wyjaśnianie, że to miejsce pracy jak każde inne, tudzież jawna irytacja innych osobników zgromadzonych pod drzwiami gabinetów, nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Lekarze postanowili bez ogródek pozbyć się skarbu,

? 11 ?

który wprowadzie przyciągnął swoim niewątpliwie profesjonalnym podejściem liczne grono pacjentów, jednak również psychofana, zdecydowanie psującego wizerunek przychodni.

I znów musiała się pożegnać z posadą. Tym razem dlatego, że okazała się „za dobra”.

Spędziła też krótki czas na pakowaniu czekoladek, gdzie zapach kakao i frytur owocowych kręcił w nosie, z nadzieją, że nadmiar pracy wyleczy ją z apetytu na słodyczne. Niestety, choć ona była

wstrzemięźliwa, koleżanki podjadały zdrowo i kierownictwo, bez zbędnych wyjaśnień, postanowiło wyłąć całą zmianę. Zrozpaczona Berenika zgłosiła się do pracy na stanowisko pokojowej w niższej klasy hotelu, na pograniczu hostelu. Machanie białymi ręcznikami, kiedy trzeba było do sucha wycierać kabiny prysznicowe, słanie łóżek i potrząsanie wielkimi kołdrami, a wszystko na czas, bo pracowała na wypłatę dla całej zmiany i obowiązywała ją solidarność, perfekcja w działaniu i szybkość, kurde, szybkość! Tak bardzo wzięła sobie do serca te zalecenia, szczególnie słanie łóżek i potrząsanie wielkimi kołdrami (ręczniki po skosie, kocyk po przekątnej!), że po jednym dniu zrezygnowali z jej wigoru i zręczności, bo... mieli lepszą zawodniczkę. Zwyczajnie jej podziękowali, nie wypłacili ani grosza za fatygę.

Po tygodniu poczuła ostry ból w dołku pod prawą piersią, gdzie miała przejrzystą jak ścieżka ślimaka bliznę po laparoskopowym usunięciu pęcherzyka żółciowego. Uczucie, jakby ktoś jej tam zostawił rozwarłe nożyczki. Zgłosiła się do lekarza i okazało się, że naderwała sobie przeponę!

Jednak prawdziwie bolesnych doświadczeń dostarczyło jej zatrudnienie w fundacji „Ścieżka nadziei”, konkretnie w call center, gdzie każdego ranka wydzwaniała z wyuczoną formułką, która, w zależności od konkretnej przyczyny, brzmiała mniej więcej tak: „Dzień dobry, nazywam się Berenika Popielewska, dzwonię z fundacji »Ścieżka nadziei«, która zajmuje się zbieraniem pieniędzy na leczenie i rehabilitację dzieci. Aktualnie zgłaszamy się do państwa z prośbą o wsparcie rodziców małego Mateuszka. Chłopiec ma cztery lata i cierpi na

? 12 ?

mózgowe porażenie dziecięce z czterokończynowym niedowładem spastycznym, zespół Fehra i małogłowia...”. Tak aż do momentu, kiedy interlokutor po drugiej stronie nie powiedział jej kolokwialnie „Spierdalaj!”. Ewentualnie zapytał w mniej emocjonalny sposób, skąd jest i dlaczego dzwoni z Poznania na Podlasie, gdzie jest bieda i nie ma przemysłu albo w jakiś inny, taktowny sposób nie oznajmił, że nic go to nie obchodzi, sam boryka się ze swoim zdrowiem, względnie pomaga komuś innemu, a jego możliwości są ograniczone. Bywało, że bez słowa odkładano słuchawkę i trzeba było wrażliwości Bereniki, by pojąć, jak bardzo było to przykre, zwłaszcza że nieuchronna powtarzalność tej reakcji przypadała kilka razy na godzinę. Albo miała do czynienia z osobą niepełnoletnią (dzwoniło się od ósmej rano!), która była sama w domu. Wszystko to za tysiąc dziewięćdziesiąt złotych miesięcznie, które nie starczały normalnie na opłaty. Plus premia, gdy zdołała jakimś cudem w ciągu miesiąca wyzebrać pieniądze, tak śmieszna, że nie warto wspominać. System, który uruchamiała każdego ranka był nieubłagany, łączył numer po numerze, i nigdy nie wiedziała kogo zastanie po drugiej stronie, kto ją zrugę lub dla odmiany obsobaczy. A musiała zachować absolutny spokój i pełen profesjonalizm, wyzwolić w sobie ducha walki dla dobra dziecka i jego rodziców. Miała być jak bokser na ringu – o czym jej mówiono na szkoleniu – i powinna odczuwać satysfakcję, jeśli uda się cokolwiek załatwić. Do ostatniej chwili nie miała pewności, że tak się stanie! Jeśli ktoś w ogóle wyrażał chęć poczytania materiałów fundacji i łaskawie podawał adres, na który można było wysłać dane organizacji pożytku publicznego oraz smutną historię podopiecznego – pozostawał jeszcze margines decyzji i ryzyko, że wszystko zostanie zwyczajnie „olane”.

Odeszła stamtąd, kiedy zaczęło ją nurtować, jak działa taka fundacja, biorąc pod uwagę koszty jej funkcjonowania. Zbieranie pieniędzy na chore dzieci brzmiało pospolicie i prowokowało cyniczne komentarze. Próbowwała poruszyć sumienia ludzi, którzy sami mieli spore trudności w przetrwaniu, zmagali się z bezrobociem i po ludzku się buntowali,

? 13 ?

gdy ktoś wyciągał do nich dłoń po pomoc. Takie fundacje powinny działać w sejmie, obok basenu i barku dla postów, najlepiej z konkretnym wydrukiem z każdego miesiąca, gdzie do wiadomości publicznej podawałoby się sumę, którą zdołano zebrać, oczywiście z dołączoną doń listą darczyńców. A przy okazji – jakże podobnie brzmią słowa zebrać i żebrać. Obcokrajowiec może tej subtelnej różnicy nie wychwycić!

Epizodycznych prac w rodzaju opieki nad genialnym dzieckiem celebrytów, sprzątania po narkotykowym bossie w jego domu z garażem na sześć aut i sypialnią z wodnym materacem właściwie nie warto było wymieniać. Podobnie jak przyczyn, dla których sama z nich zrezygnowała.

Obecną sytuację uważała za w miarę ustabilizowaną, nie musiała bezustannie pożyczać od dzieci i mogła od czasu do czasu wesprzeć skromną sumką koleżanki, które poświęcały swój czas i środki na bezdomne zwierzęta. Była szczęśliwa, choć mieszkała z apodyktyczną

matką i ojcem z kompletną demencją. Miała córkę Edytę z narzeczonym Stachem i jeżem pigmejskim zamiast wnuka, oraz syna Bartłomieja, którego żona, Iga, spodziewała się pierwszego dziecka. Była w związku z facetem, niejakim Brunem, alkoholikiem utrzymującym się na wysokiej stopie życiowej dzięki zajęciu ghostwritera, który bezustannie wyjeżdżał – a to do Emiratów Arabskich czy Kuwejtu, a to do Meksyku lub Tajlandii (zastanawiała się, czy tam mieszkali autorzy, za których pisał?), skąd przywoził jej oryginalne prezenty w rodzaju pikantnych erotycznych gadżetów, z którymi nie wiedziała co zrobić. Że niby taki dowcipny! Upychała po szafach, kilka razy coś cichcem wyniosła do pojemnika z używaną odzieżą. Nie zamierzała tego wykorzystać; gdy kiedyś go skrzyczała, że mógłby przywieźć dobre wino albo ser, do czarnych koronek sporadycznie zaczął dołączać parmezan i chianti. Koronki, owszem, zatrzymywała, nie wiedząc, czy kiedyś trafi się jej okazja, by założyć, bo kochanek miał zwyczaj spadać jak Zeus w postaci złotego deszczu na Danae (czyli raczej nieoczekiwanie) i zazwyczaj nie była przygotowana na randki. Jej bogobojna matka znalazła kiedyś lateksowy pas i bicz, razem z tandetnymi, diamentowymi ostrogami. Wypadły z szafy, kiedy szukała u córki całych rajstop, bo

? 14 ?

szła akurat do lekarza. Dziurawe nosiła z powodzeniem na co dzień, ale do lekarza wypadało założyć „te lepsze”.

Starsza pani była tak zdumiona znaleziskiem, że wyniosła cały ekwipunek na światło dzienne, czyli położyła na dużym stole w salonie, gdzie za szafą leżał od kilku lat jej małżonek, mocno podupadły na zdrowiu, a nade wszystko zrezygnowany. Od dawna chorował na łuszczycę, przestał się leczyć, kategorycznie odmawiał kolejnych pobytów w szpitalu. Każde jego wyjście z pieleszy znaczyła ścieżka suchych skórek, sypiących się z kraciastego porannika. Postanowił więc wychodzić wyłącznie w przypadku „grubej potrzeby”, cieńszą załatwiając do butelki po mleku, z którą w razie konieczności wychodził zza meblościanki, niczym królowa angielska z kosztowną torebką.

Ileż się Berenika namęczyła, by przekonać rodziców, że należy pozbyć się starej wykładziny (matka kładła taką nawet w łazience, twierdząc, że jest jej zimno od podłogi!), wydobyć ją spod szaf, które pamiętały późnego Gierka, i wyczyścić podłogi ułożone z płytek w kolorze marchewkowym. Wyszła bowiem z założenia, że o wiele łatwiej dbać o czystość za pomocą mopa, niż na kolanach zmiatać mokrą szmatą skórę ojca (matka zabraniała uruchamiać odkurzacza z obawy o wysokie rachunki). Zerwanie starych wykładzin, których gumowe spody wżarły się w podłogę, a potem pokruszyły jak czerstwe biszkopty, było nie lada wyzwaniem, i kiedy za pomocą szpachli udało się usunąć resztki pianki, podłoga nabrała nowej jakości!

Powrót Bereniki do gniazda był więc bolesny i obfitował w trudne do przewidzenia reakcje. Oczywiście zdrowiej jest, gdy dzieci mieszkają osobno, więc każdego dnia błogosławiła fakt, że jej latorośle już są na swoim.

Udawanie na Facebooku, że ma samodzielne mieszkanie wymagało skupienia, i jeśli zamieszczała jakieś zdjęcia, musiały to być wnętrza mieszkań jej dzieci. Młodzi je wynajmowali, składając na własne, a ona, po rozstaniu z mężem, który poszedł w siną dal (i nawet teściowa nie miała pojęcia, gdzie się podziewa), nie mogła sama utrzymać ponad siedemdziesięciometrowego lokum, zresztą również od lat tylko wynajmowanego.

W rezultacie wylądowała u rodziców, przy okazji opiekując się nimi, kiedy zachodziła taka potrzeba. To znaczy coraz częściej. Matka była po operacji onkologicznej, na rekonwalescencji, i w nienajgorszej kondycji. Gorzej było z ojcem, który miał mniej dolegliwości od swojej żony, ale za to, jak sam twierdził, te bardziej upierdliwe. Pytanie, dla kogo bardziej, dla niego czy dla otoczenia? – pozostawało retorycznym.

Do rodzinnego grajdołka swoje trzy grosze dorzucała ciotka Walerka (rymowało się z cholerka), siostra jej matki, która po raz czwarty w ciągu trzech lat zamierzała się wyprowadzić, podejrzewając, że ściga ją mafia, i już wydała na nią wyrok, bo „za dużo wie”. Ciocia cierpiała na liczne przypadłości, wśród których ta umysłowa była najtrudniejsza do zdiagnozowania. Miała też, biedaczka, haluksy, jaskrę, bliżej nieokreślone zwyrodnienia bioder, kolan, łokci; nosiła perukę, którą próbowała samodzielnie ufarbować, bo zamówiona przez nią w internecie nie spełniała oczekiwań. Wdowa, z godną emeryturą, bezdietna, i niestety bez żadnego zajęcia czy pasji, które choć na kilka chwil mogłyby ukoić jej troski i niezliczone choroby. Jeśli nie pojawiała się z prośbą o nocleg (na dwóch fotelach, więc kotka dostawała szału, bo to było jej miejsce), to dzwoniła z kolejnym raportem o stanie swego zdrowia, z wyszczególnieniem aktualnego pomiaru ciśnienia (Walerka wszędzie nosiła ze sobą aparat) i dokładnym opisem stanu białek ocznych. Ostatnio ugryzł ją pająk, którego widziała przez chwilę, nim biedak uciekł pod szafę. I jacyś mężczyźni spali u niej w piwnicy na półkach, które doskonale spełniały funkcję kuszetek. Usypiali ją eterem przez dziurę w podłodze, i kiedy tak trwała obezwładniona – przychodzili do niej się najeść. Znikały jej w ten sposób zapasy z lodówki. Ale, co było w tym wszystkim dość ekscentryczne, naprawili jej pralkę, przeczyścili zatkany zlew i porządnie osadzili niedomykające się drzwi do kuchni! Być może w tym czasie dochodziło też do czynów nierządnych i naruszania jej godności osobistej.

Reasumując, Berenika żyła sobie dotąd spokojnie.